



Zabytki TO TWOJE
DZIEDZICTWO
nie pozwól niszczyć
reaguj

Joanna Jodelka

Okazja

www.zabytki-reaguj.nid.pl

AKT I

Jest późna jesień i późne popołudnie. Stara, willowa dzielnica dużego miasta. Fasady pięknych, bogatych domów skrywają rozłożyste konary wiekowych platanów. Rosną tuż przy zadbanym chodniku. Ogrodzeń strzegą fantazyjnie przycięte żywopłoty lub równo posadzone strzeliste tuje. Niektóre sięgają nawet drugich pięter.

Jest bardzo elegancko... ale nie wszędzie. Jedna z willi jest w opłakanym stanie. Nikt jej nie remontował od dziesięcioleci. Chwasty rozsiały się po ogródku. Ozdobne krzewy zmieniły w chaszczę. Tylko w jednym z dawno niemytych okien świeci się światło. Widać krzywo zawieszoną zastonkę.

Przed tą willą stoi para – przystojny mężczyzna i atrakcyjna kobieta. Nie wyglądają na jej mieszkańców. Wspinają się na palce, zaglądają do środka. W końcu decydują się wejść.

Żeliwna furtka skrzypi. I to jak! Popychający ją mężczyzna jest zdziwiony jazgotem i oporem jaki stawia stara, obwieszona bramka. Rozgląda się wokół, niepewnie przeczesuje palcami równo przycięte włosy. Ma na sobie starannie dobraną marynarkę i porządnie wypastowane buty. Jeszcze raz spogląda na numer domu przytwierdzony drutem do powyginanej siatki. Kiwa głową. Zgadza się. Mocuje się więc z furtką i odpychając ją jak najdalej od siebie wchodzi z tryumfalną miną na teren posesji. To Karol, ledwie czterdziestoletni doradca finansowy. Podążająca za nim kobieta to jego żona – Edyta. Edyta ma spięte w kucyk brązowe włosy, bardzo krótką grzywkę i niezwykle długie, sięgające kostek, moherowy, biały sweter. Idzie, rozmawiając przez przytkniętą do ucha komórkę. Wchodzi prawie bokiem przez otwartą bramkę. Uważa, by żadnym z długich unoszących się w powietrzu włosków nie dotknąć mazi z glonów i porostów oblepiających przerdziewiałe ogrodzenie.

Idzie niepewnie i ma rację. Maleńka szpilka zamszowego kozaczka trafia w jedną z wielu szczelin w popękanych płytkach chodnikowych.

– Szlag! – syczy do aparatu, masując kostkę. – Nie synku, nie do ciebie! Mamusia wykręciła nogę – informuje, oglądając zdartą zamszową skórę na obcasie. – Ty też się pośliznąłeś? Kiedy? Uważaj – przestrzega z przejęciem. – Chcesz nowe buty...? Z taką podeszwą? Najnowszą? Masz rację. Zamówimy...

– Mowię nie ma! – syczy mężczyzna, odwracając głowę.

– Styszysz synku, tatuś chce kupić bardzo drogą, nikomu nie potrzebną rzecz, a na buciki żatuje. Pobądź z nianią. Bądź dzielny – kobieta ścisza głos, widząc jak mąż, zatrzymuje się na schodach, marszczy brwi, zaciska usta. Odwraca głowę.

– Skończ już – irytuje się. – Rzeczywiście musi być bardzo odważny! Ma jedenaście lat, siedzi z nianią. Sam bym tak sobie posiedział.

– Tak, tak, w lodówce... niech włoży do mikrofali i nastawi na trzydzieści sekund... Nie lubisz niani? Tatuś lubi... – dodaje, obrzucając męża wymownym spojrzeniem.

Ten udaje, że tego nie widzi i wymierza palcem wskazującym w malutki dzwonek. Rozlega się gong.

– Bądź miła i uśmiechaj się.

– Na co ci to? – pyta żona. – Przecież ty się na tym nie znasz – dodaje, wzruszając ramionami.

– Znam się na zarabianiu pieniędzy! – mówi głośno. – A nie na wydawaniu, jak ty – dodaje w myślach. Cokolwiek mu teraz przychodzi do głowy, wkłada do kopii roboczych. To nie czas na kłótnie. Ostatnio ciągle się kłóć.

Żona chce mu odpowiedzieć. I to w stylu, jaki mają przeciwiczony od bardzo dawna, ale nie ma już czasu. Otwierają się stare, drewniane drzwi. Obwieszona potać szoruje po zmurszałym, betonowym podeście. Karol uprzejmie chwytą za klamkę, chce pomóc otworzyć drzwi komuś, kto siłuje się z nimi od wewnątrz. Nie widzi blokady i o mało nie wrywa łańcuszka, który od środka zabezpiecza wejście. W utworzonej szczelinie pokazuje się haczykowaty nos drobnej staruszki, jedno ciekawskie oko i pomarszczone palce sztywno zaciskające się na masywnych, metalowych ogniwach.

Karol układa usta w najprzychylniejszym z uśmiechów, jakie potrafi zaoferować. Wyraźnie chce się pokazać z jak najlepszej strony.

– Dobry wieczór.

– Czego chcesz? – zapytuje staruszka chrapliwym głosem, marszcząc podejrzliwie widoczne w szparze oko.

Gdyby była prawdziwą wiedźmą, powiedziała by, że zainwestować. I to tak, by zarobić od razu co najmniej dwieście czterdzieści siedem procent w skali roku. O takim przychodzie czytał. Ale choć siwe włosy staruszki sterczą jak na miotle, to czarownicą nie jest. Co więcej jest potencjalnym sprzedawcą, a on bardzo zainteresowanym kupującym.

– Chciałem porozmawiać, ponieważ dowiedziałem się, że ma pani na sprzedaż... – Karol nie tłumaczy, że podsłuchał rozmowę w galerii. Może kiedyś o tym komuś opowie. – Przepraszam zapomniałem – reflektuje się. – Pozwoli pani, że się przedstawię... – mówi, gdy staruszka nieoczekiwanie przymyka drzwi, uwalnia łańcuszek i wychodzi na zewnątrz. Na nogach ma rozdeptane kapcie i stare wełniane skarpety. Tupie groźnie i macha ręką.

– Milion do domu! Milion! – krzyczy. – Widział pan mojego psa? Milion – pyta, pokrzykując.

– Milion ładne imię... dla psa – stwierdza Karol. Naprawdę mu się podoba. – Ale przykro mi, nie widziałem – oświadcza zgodnie z prawdą.

– Milion pchle miał, jak go znalazłam – stwierdza staruszka rzeźącym głosem. – Nie lubi obcych? A może on już zdechł? Tak... chyba w zeszłym roku? – mówi do siebie, głośno się zastanawiając. – A wy kim jesteście?

Edyta krzywi się i odruchowo zaczyna otrząpywać poły swetra.

– Na pewno nie jesteśmy obcy. Ja się już przedstawiłem, a to moja żona Edyta...

– Ja nic nie sprzedaję – ucina staruszka chwytając za klamkę. – Córka nie pozwoliła... Ale dlaczego? – pyta staruszka samą siebie, drapiąc się po sterczących, siwych włosach. Edyta jest zadowolona, chce już iść, ale Karol nie zamierza się poddawać. Jeszcze nie pora. Zdobycie jej adresu trochę go kosztowało, a patrząc po willi może się optać.

– Milion, milion... – staruszka nawotuje pieska.

– Może chociaż zobaczymy tę rzeźbę? – zagaduje Karol. – Skoro przyjechaliśmy.

– Córka nie pozwoliła pokazywać byle komu... – odgraża się kobieta. – Idźcie sobie – dodaje. Karol patrzy na żonę z pretensją. Taki wzrok może oznaczać, tylko jedno – „Odezwij się, nie stój tak!”

– Ależ proszę pani! – uśmiecha się Edyta. – Przecież my nie jesteśmy byle kim – dodaje pełnym ciepła i wyrozumiałości głosem. – To mój mąż Karol, a ja mam na imię Edyta. Jesteśmy małżeństwem od dwunastu lat, mamy syna...

– Właśnie – potwierdza Karol, który już zapomniał jak miękko i łagodnie potrafi mówić jego żona. Taki ton od dawna zarezerwowany jest dla rozpieszczonego maminsynka. Zażęknął za nim. Oczywiście za tym głosem. Nie za rozwydrzonym dzieciakiem.

Staruszka patrzy przychylniej, obrzucając ich zaciekawionym spojrzeniem.

– Ale córka nie pozwoliła – stwierdza jednak ostatecznie i odwraca się na pięcie, wracając do domu. Po chwili jednak zatrzymuje się i z rezygnacją opuszcza głowę. – Ale ona chyba nie żyje... – dodaje, uporczywie drapiąc się po głowie.

Z wnętrza domu dobiega archaiczny dzwonek starego, analogowego telefonu.

– Julek! Julek... – powtarza staruszka i po chwili znika w korytarzu. Nie zamyka za sobą drzwi. Edyta chce odejść, ale jej mąż nie daje za wygraną. Chwyta ją za rękaw. Zatrzymuje w pół kroku. Nie po to tu przyjechał, żeby tak szybko opuścić. Wprost przeciwnie. Przecież wszystko się zgadza. Kobieta miała być starsza, samotna z jakimś synem utracjuszem, który wysprzedaje wszystko z domu matki za śmieszne pieniądze. Idealna sytuacja. Rusza za kobietą w głąb domu i gestem nieznośnym sprzeciwu pociąga za sobą żonę.

– Możesz mi wyjaśnić, po co my tu idziemy? – pyta Edyta, próbując stawić opór.

– Ponieważ przeczytałem badania dotyczące przebiegu indeksów sztuki i poziomu rentowności tych inwestycji w porównaniu do indeksu dużych spółek... – syczy małżonek przez prawie zaciśnięte usta. – Coś jeszcze ci wytłumaczyć?! Edyta niewiele rozumie, ale wie, że w ich wypadku ma to bezpośredni związek z kartą w bankomacie. Popychana wchodzi, choć niechętnie.

– A nie mógłbyś inwestować w diamenty? – mruczy jeszcze pod nosem, ostrożnie przestępując próg.

Karol nie zamierza odpowiadać, że biżuteria to nie inwestycja. By kupić naprawdę tanie kamienie, musiałby pojechać do Konga, albo Liberii jakiegś, a to mu się nie uśmiecha Żydowskiej rodziny w Antwerpii, też już nie ma. Na rynku nieruchomości zapowiadają recesję, a poza tym wszystko, co nabędzie, jest już w połowie nie jego. Nie ma z żoną rozdzielności majątkowej. Jeszcze ten podatek – kręci głową. A taką sztukę, to kupi i sprzeda, bez żadnych podpisów u notariusza. Śladu po nich nie będzie.

Dużo o tym myślał i nie potrzebuje już przekonywać sam siebie. Wchodzi z podniesioną głową, idzie zdecydowanym krokiem. Żona podąża za nim.

Edyta próbuje nie dotknąć zakurzonych ścian. Nie chce wdepnąć w jakieś wiadra i stoiki porzastawiane w korytarzu. Zastania apaszką nos. Śmierdzi stęchlizną i dawno niewietrzonym pomieszczeniem. Karolowi nie przeszkadza wilgoć i zapach starych ubrań. Z przyjemnością patrzy na regularne plamy, którymi usiane są dawno nieodmalowywane ściany. Pełno mniejszych lub większych prostokątów i samotnie sterzcących gwoździ. Musiało tu wisieć dużo różnych obrazów. Ktoś zadbał, aby zniknęły ze ścian. Wszystko się zgadza.

Staruszka rozmawia przez telefon.

– O Juleczku... Czy przyszli? A kto miał przyjść? – dopytuje się. – To chyba już są... – mówi, patrząc na czekającą w korytarzu parę. – A tak? Potrzebujesz? Pamiętam... Tak mówiłeś – potwierdza, masując sztywnymi palcami porane zmarszczkami czoto. – Czy był? Nie pamiętam? Pan jest komornikiem? – kobieta niespodziewanie odwraca się i z przestachem w oczach dopytuje Karola. Ten pośpiesznie zaprzecza zdecydowanym gestem dłoni. Edyta wtóruje mu kręcąc głową z jeszcze większym przekonaniem. – Nie, to nie komornik... – uspokaja się staruszka. – Wiem! Mówiłeś. Nie wpuszczać. Nie wpuszczam. Mówiłam, nie wpuszczam. Wiem... Wszystko zatatwisz... Wiem...

Staruszka odwraca się, mocnej przyciskając telefon do ucha. Zastaniając się ręką. – Niżej stu nie schodzić – szepcze chrapliwym głosem. Osiemdziesiąt w ostateczności... Jakiej ostateczności? Acha... Chyba nie zdążysz przyjechać... Jak to... Poradzę sobie? – kobieta smutnieje.

– Chodź, przejdźmy dalej – zadowolony Karol puszcza oko do zdecydowanej niechętniej żony i przechodzi wąskim korytarzem w głąb mieszkania – Nietadnie tak podstuchiwać – dodaje z zadowoleniem. Już wie, że trzydzieści, no może czterdzieści tysięcy wystarczy. Wszystko idzie dobrze. Sztuka to najstabilniejsza z gałęzi alternatywnego inwestowania. A żeby kupić coś dobrego, okazjonalnego, przy tym spektakularnego, musi zaistnieć sytuacja 3D – powtarza w głowie. – Death, czyli śmierć kolekcjonera, divorce – czyli rozwód i wynikiły z niego podział majątku, lub debt – długi do spłacania. Już wie, z czym ma do czynienia. Sytuacja numer trzy. To nie tylko plotka – uśmiecha się do swoich myśli. Już rozmawiał z tym synem przez telefon. Zgrywał twardziela, ale tylko przez chwilę. Potrzebuje tych pieniędzy. Karol dałby sobie rękę uciąć, że podczas rozmowy w tle słyszał odgłos, jaki wydaje automat do gier.

Dlatego czuje się pewnie. Szybko się orientuje, który z pokoi jest salonem. Sam sobie zapala światło. Wchodzi, rozglądając się. Za nim żona, też wodzi wzrokiem. Nawet pobieżne spojrzenie wystarczy, by wiedziata, że nie usiądzie na wypłowiej, zakurzonej sofie. Spogląda na wszystko z lekkim obrzydzeniem, ale szybko zmienia wyraz twarzy, czując w ręku wibrujący telefon. Rzut oka na wyświetlacz i odbiera z uśmiechem.

– Tak synku? Gofra byś chciał? – mówi do aparatu, a mąż ją ucisza pokazuje palcem na środek pokoju. Obrażona Edyta

odwraca się plecami do niego, przecież nie będzie na komendę patrzeć.

– Oddaj to – mąż wyrzywa jej komórkę z ręki. – Nie dzwoń do matki z każdą bzdurą! – szeptem krzyczy do aparatu. – Głodny jesteś? Dobrze ci zrobi, jak się przegłodzisz – Karol ostentacyjnie kończy rozmowę, składając rozkładany telefon najnowszej generacji.

– Przesadziłeś! – syczy Edyta i próbuje odebrać mu aparat.

– Pięć kilo mniej mu nie zaszkodzi! – mówi z komórką trzymaną w wysoko uniesionej ręce.

– To dziecko! – krzyczy Edyta, podskakując.

– Odwróć się i zobacz – kategorycznie oświadcza mąż. Ma poważną i pewną siebie minę. I do tego wyjątkowo zadowolona. Mimo wściekłości przykuwa jej uwagę. Edyta odwraca się z niechęcią.

Patrzy. Nie sposób jej nie zauważyć. Wysoka na dwa metry rzeźba, stoi wetknięta w kąt. Przedstawia chudą postać, próbującą się wydostać z płataniny smukłych, przenikających się żłobień. Żłobienia te wydają się być zastygłymi, zimnymi płomieniami z jakiejś niesamowitej opowieści. Postać jest tajemnicza i majestatyczna, nie tylko przez swoją wielkość. Ma pociągniętą twarz z prostokątnym podbródkiem i zapadniętymi głęboko policzkami. Puste, okrągłe oczodoły bez powiek, zdają się spoglądać przenikliwie. Nie ma w nich gatek ocznych, co nie przeszkadza im patrzeć jakby dalej i widzieć jakby więcej. Na wskroś prawie. Trochę to przerażające. Para, która jeszcze przed chwilą szarpała się ze sobą, teraz wpatruje się bez słów.

– Kosmicznie wygląda – mówi Karol szeptem po dłuższej chwili. Nie żeby rzeźba go stremowała, choć postać wpatruje się boleśnie i mocno. Raczej mu się podoba. Oczywiście nie zamierza tego powiedzieć. Doświadczenie uczy go, by nie zachwycać się towarem przed dobieciem targu.

– Jest z brązu? – pyta żona z zainteresowaniem. Nie zna się na metalach, ale ten ma wyraźnie brązowy kolor. Mąż przytakuje choć też nie zna się na odlewach. Posąg jest metalowy, więc chyba tak. – Skąd wiesz? – dopytuje Edyta.

– A jakie to ma znaczenie?! – irytuje się pytaniem. – To sztuka! Tego się na kilogramy nie kupuje – oświadcza, ale już nie wdaje się w dyskusję. W drzwiach salonu pojawia się staruszka. – To ile pani mówiła, że ma kosztować ten Biegas? – pyta pospiesznie, od niechcenia wskazując rzeźbę. – Znaczą Bolesław Biegas. Ten rzeźbiarz. Znaczą się nie on, ale ta rzeźba oczywiście. Spodziewałem się hmm... czegoś większego – dodaje, drapiąc się po nosie – ale trudno. – Żona patrzy na niego z uznaniem. Widać, że zna twórcę i nie pomylił się. Tego się po nim nie spodziewała.

– Ach ta – staruszka podchodzi do rzeźby i muska posąg starczymi, zakrzywionymi palcami. – Ile to miało być? – drapie się po głowie, usiłując sobie przypomnieć. – Osiem... osiem... tysięcy, czy jakoś inaczej.

Zastanawia się, a Karol z podniecenia chwytą żonę za rękę i ściska tak mocno, że ta zagryza usta, nie pisnęła. Widzi po minie męża, że ten jest niezwykle rozemocjonowany, choć stara się to ukryć. Karolowi nie jest łatwo, na zakupie akcji miedzi nie miał takiego przebiccia, choć to był jego najlepszy zarobek. Też z posłyszanej informacji. Dobra wróżba, cieszy się w środku.

– Chyba się pomyliła o jedno zero, co? – szepcze Edyta. Żal jej starej kobiety.

– I co z tego – wydusza z siebie Karol, prawie nie patrząc na żonę. – I tak tych pieniędzy nie zobaczy. Ten synek jej zabierze. Bo mamusia da mu wszystko, co tylko zechce – dodaje, wykrzywiając twarz w przedrzeźniającym grymasie. Edyta chce coś odpowiedzieć, ale nie ma już szansy. Niespodziewanie rozlega się dzwonek do drzwi wejściowych. Karol klnie bezgłośnie i mocno zaciska oczy. Nie teraz! – powtarza w duchu. – Nie teraz!

Staruszka drepcząc, wychodzi z pokoju. Gdy znika w korytarzu, Karol odwraca się w kierunku żony.

– Tylko teraz się nie odzywaj. Proszę cię, tylko się nie odzywaj – powtarza. – Ja będę z nim rozmawiał. Chyba że cię wyraźnie poproszę! Zrozumiałaś. Żadnej własnej inicjatywy – dodaje przez zaciśnięte zęby.

– To może ja lepiej sobie pójde – przedrzeźnia go żona.

– Zgadłaś! – odpowiada Karol zupełnie poważnie.

– A właśnie, że nie. Nigdzie nie idę – oświadcza przekornie Edyta. Chce wiedzieć, ile jej mąż wyda, jeśli wyjdzie, nie dowie się nigdy.

Karol odwraca się do niej plecami. Wyładowałby złość na kimkolwiek, ale już styszy przekręcany klucz w zamku. Było tak blisko. Ten Biegas, ten rzeźbiarz zmarł prawie siedemdziesiąt lat temu, więc nic już więcej nie wyrzeźbi. Czyli tańszy nie będzie. Podobno będzie sławny, jeszcze bardziej niż jest. To też podstuchał. Ma być o nim film, a to też podbije cenę. Paryż początek XX wieku. Najstynniejsi artyści, a on wśród nich. Podobno miał romans z hinduską księżniczką... Będzie hit! Będzie moda! Będzie zysk – tysiące myśli na raz!

– Nic to – Karol próbuje uspokoić sam siebie. Głośno wypuszcza powietrze z ust. Teraz musi się dogadać z synem. Facet potrzebuje pieniędzy. Zna takich. W sumie wszystko mu jedno, ile dostanie, bo i tak myśli, że się zaraz odegra. Karol już wie, jak z takimi optymistami rozmawiać. Nastraja się. Robi kilka kroków w te i we w te, bierze kilka szybkich wdechów i wydechów, rzuca kilka motywujących hasła. Uspokaja się przegarnia palcami włosy i zastyga. Ktoś zaczął mówić. Nie takiego głosu się spodziewał. Dźwięk jest jazgotliwy i należy do kobiety. I to takiego typu, którego nie znosi. Pewnej siebie przekupy, która wejdzie bez zaproszenia nawet przez zamknięte drzwi.

Właśnie dokładnie kogoś takiego mu teraz nie potrzeba.

– To, gdzie to jest? – dobiega z korytarza wraz ze stukotem szybko zbliżających się obcasów. Karol chwytą żonę za rękę i zaciąga za otwartą połącz drzwi do salonu. Są na tyle wysokie i szerokie, że ich nie widać. Nie można też, bez cienia wątpliwości, posądzić kogokolwiek, że się za nimi chowa. Tym bardziej, że stoi tam fotel. Karol popycha żonę, tak że Edyta bezwolnie siada na nim nie zdążywszy zaprotestować.

– Gdzie? – słyszą powtórne natarczywe pytanie. – Samsonku nie denerwuj się – Karol przysuwa się do szczeliny, jaką tworzą mosiężne zawiasy. Widzi pytającą kobietę. Ma z sześćdziesiąt parę lat. Jest pokaźnych rozmiarów matroną z nastroszonymi rudymi włosami. Kobieta ma zsunięte na włosy, wielkie złote okulary, których oprawki ozdobione są mnóstwem mieniących się kryształów, może i nawet drogich kamieni. Edyta, która również przyłgnęła do szpary, rozpoznaje wzór tuniki ostaniającej pokaźnych rozmiarów ciąto. To drogi i ekskluzywny materiał. Rozpoznawalny, bo podpisany wielkimi literami. Loga z inicjałami kilku marek widoczne są na klamrze butów, sprzączce torebki i zegarku, którego złota bransoleta zaciska pulchny nadgarstek mocno gestykującej właścicielki. Ostentacyjniej się nie da – kręci głową Edyta, choć zegarka trochę z zazdrością. Samsonek to trzymany na rękach mały, wierzący się czarny ratlerek.

– No, gdzie jest? – pyta po raz kolejny, drapiąc tepek pieska długimi pomalowanymi na krwistą czerwień paznokciami.

– Pani Bożenko tu – odzywa się ktoś, kogo kobieta prawie całkiem przystania. Matężństwo ukrywające się za drzwiami po raz kolejny patrzy w zdziwieniu po sobie. – Proszę spojrzeć – powtarza ktoś. Dopiero po chwili z przysadzistego ciąto wyłania się zgarbiony chudzielec z rzadkimi, zaczesanymi do tyłu włosami. Ma poważne zakola, ale jest od kobiety znacznie młodszymi i wyraźniej nadskakujący. Na nosie ma grube oprawki, obwisłe chomicze policzki, ubrany jest w przydtugi sweter ze skórzanymi łatkami na łokciach.

– Bolesław Biegas – oświadcza tryumfalnym głosem, wskazując na rzeźbę. – To o nim tyle opowiadałem – mówi, ledwo kryjąc wzruszenie. – Wspaniały, prawda?! Wspaniały!

Karol zna go! To jego widział w galerii. To jego rozmowę podstuchał. Wie jedno – człowiek z łatkami zna się na sztuce. Porównywał wartość, przywoływał aukcje, przewidywał wzrost ceny. Teraz Karol nie może dać się rozpoznać. Nie powinno to być trudne. Mężczyzna nie zwracał na niego uwagi, a on na szczęście o nic go nie wypytywał.

– Kubusiu, nie podniecaj się tak – macha ręką kobieta. – Wystarczy mi już to, co naopowiadałeś wcześniej. Wystarczy, że ma go pan dyrektor telewizji! Czyli będziemy mieli i my – uśmiechnęła się matrona. Podstuchujący Karol krzywi

się niemiłosiernie. – Jak go kupimy, to go zaprosimy na kolację, a Fiszbachowie pękną z zazdrości – kontynuuje.

– Dyrektor telewizji, dyrektor telewizji – powtarza w głowie Karol. Nie ma ich znowu tak wielu... Ciekawe, który go kolekcjonuje? – zastanawia się. – To akurat dobra informacja – pociesza się. – Inwestycyjnie wręcz doskonała. Ten film będzie na pewno!

– Podoba ci się Samsonku? – pyta pieska pieszczotliwym głosem. – Ustawimy go w salonie. Pod oknem. – Ciągnie dalej.

– Na obrotowym podeście. Tym podświetlonym. Pamiętasz? Tym który mieliśmy na targach karmy w Kolonii. Pamiętasz, pokazywałam ci zdjęcia? – dopytuje się. – Jak się wystawialiśmy.

– A... tym, z ekologicznymi przekąskami dla psów – przypomina sobie mężczyzna.

– Nie ten – kobieta zaprzecza kategorycznie, potrząsając rudą czupryną. – Ten jest za mały. Ten, przypomnij sobie... – żąda, wbijając paznokiec w klatkę piersiową mężczyzny... ten, na którym różne rozmiary rogów jelenich wisały. Rogów do gryzienia. Ta nasza nowa oferta. Ekologiczne przekąski. Pamiętasz. A on się kręcił. Na pilota taki, Kubuś no!

– Ach ten – przytakuje mężczyzna, odsuwając się. Trudno jednak powiedzieć, czy sobie przypomniat, czy kuł go paznokiec.

– Stojak się zmieścił – kontynuuje zadowolona matrona – to ten, ten tam też się zmieści – dodaje, wskazując na rzeźbę.

– Myślę, że będzie w sam raz. Pokaż mi go z drugiej strony. Mówiłeś, że ma drugą stronę.

– O tak! – mężczyzna odzyskuje pewność siebie i przygładza przetłuszczone włosy. – Oczywiście, że ma! To dzieło z początku XX wieku. W tym okresie powstawała seria dużych rzeźb dwustronnych Bolesława Biegasa. Moim zdaniem to szczyt jego twórczości. Bardzo metafizyczne, bardzo natchnione i bardzo tajemnicze – mówi i wzdycha głęboko. – Z jednej strony jest na przykład Spokój medytacji a Filozofia z drugiej. Albo Mądrość i Tworzenie. Czy Przeznaczenie i Wieczność tajemnicy. Tak, to najlepszy okres w jego życiu twórczym. Oczywiście jego malarstwo też jest ciekawe. Wyjątkowe wręcz. Ale ja wolę te rzeźby. Zdecydowanie.

– Skoro tak mówisz – chrząka kobieta. – Takie to trochę niewyraźne... Tak ma być? – pyta i przypatruje się kręcąc głową. Ratlerek przekrzywia ją w tym samym kierunku.

– Pani Bożenko to celowy prymitywizm – wyjaśnia mężczyzna. – Właśnie za odejście od poprawności akademickiej wyrzucono go z uczelni krakowskiej. To przez jego egzystencjonalny fatalizm, syntezę i szkicowość przedstawianej postaci. To niezwykle skąd taki samouk ze wsi trafił na paryskie salony. I był jednym z pierwszych symbolistów w rzeźbie. Przecież swego czasu wyżej go wyceniano niż Rodina... – ekscytuje się mężczyzna, unosząc ręce ku górze. A Karol powtarza w głowie nazwisko – Rodin, Rodin, Rodin. Musi sprawdzić, na ile go teraz wyceniają.

– Dobrze już dobrze – uspokaja kobieta. – Podświetli się go i będzie wyraźny – dodaje fachowym tonem. – Tak z góry się światło na niego puści. Jak na targach. Jak na stojak. Światło też będzie na pilota, przyciemni się go jak... no jak nie będzie musiał być, hmm widoczny. No Kubuś obróć go w końcu! – żąda, tupiąc nogą.

– Ale nie wiem, czy mogę – zastanawia się mężczyzna, wychylając głowę na korytarz. Cisza i nasłuchiwanie, które nastąpiło na krótką chwilę, pozwoliło dosłyszeć chrapliwy głos staruszki dobiegający gdzieś z ogrodu „Milion... Milion!”

– Ja ci pozwalam – oświadcza pani Bożena przymilnym tonem. – To ci powinno wystarczyć. No dalej – pogania zniecierpliwiona.

Mężczyzna mocuje się z rzeźbą, w końcu przekręca ją. Rzeczywiście z drugiej strony pojawia się zupełnie inne przedstawienie. Nie mniej kosmiczna postać, choć o znacznie łagodniejszych rysach. Skrywają ją nie płomienie a jakies splecione todygi.

Podstuchujące małżeństwo wychyla się zza drzwi. Też chcą zobaczyć. Zżera ich ciekawość. Niewiele jednak widzą. Wszystko przystania druga para.

– Och! Wspaniałe! – wykrzykuje mężczyzna – Przypomina rzeźbę zakupioną przez Muzeum Narodowe w Poznaniu. Jaki to był tytuł? – Zastanawia się głośno, drapiąc się po wysokim czole – O! już wiem – Początek dwoistości twórczej bóstwa – Tak, tak się nazywa... tamta jest...

– Tylko takie rzeźby powinny być – kwituje matrona poważnym tonem, patrząc na tył i przód posągu. – Rozwodzisz się, przepitowujesz i są dwie. Dla każdego. Równy podział. A nie to twoje, a to moje.

– Ale to by było zniszczenie zabytku! – przerywa mężczyzna, jęcząc tak, jakby to jego przecinano na pół. – Tak nie wolno. Za to można do więzienia pójść!

– Dobrze! Już dobrze. Nie denerwuj się – matrona łagodni ton i głaszcze tysięjące zakola mężczyzny, dodając dobrotliwym tonem. – Nikt nie zamierza tego robić. Już raz pół firmy musiałam oddać. Nie martw się, drugi raz tego nie powtórzę. Przekonałeś mnie. Kupujemy! – zaklaskała radośnie w pulchne dłonie. – Będę ją sobie obracać. Pilotem! Fiszbachy oszaleją. Żeby oglądać jego dzieła sztuki – mówi drwiąco i chichocze – to trzeba do garażu iść!

– Kupujemy? – zapytuje mężczyzna.

– To znaczy ja kupuję – poprawia matrona zasadniczym głosem. – Wołaj tę babkę – mężczyzna prawie zaczyna biec w kierunku korytarza. – Spokojnie. Najpierw przynieś umowę, mam w torebce. Zatawimy to od ręki.

Na to Karol już się nie godzi! Popycha połąć drzwi zdecydowanym gestem i wchodzi na scenę salonu.

– Zaraz, zaraz! Przykro mi bardzo – powiadamia rzeczowym tonem. – Ta rzeźba jest już sprzedana – mówi, a kobieta powoli odwraca się i patrzy. Następnie zsuwa z włosów okulary, umieszczając je na nosie. Obrzuca szybkim, pobieżnym spojrzeniem Edytę. Uważniej przygląda się Karolowi. Taksuje go wzrokiem powoli, przesuając spojrzenie z czubków butów na czubek nosa.

– Pani Bożenko, może odkupimy? – mówi chudzielec niemal błagającym tonem.

– Dziubku – kobieta z politowaniem klepie go po ramieniu, nie spuszczać wzroku z doradcy finansowego. Uśmiecha się. Takich Karolów to ona zjada na śniadanie. Rozpoznaje ten sprzedajny styl podszyty niepewnością. – Ma pan umowę? – pyta wprost. Karol chce powiedzieć, że ma! W domu, gdziekolwiek! Wmówi to staruszce i tak nie pamięta, co mówi!

– Ale byliśmy pierwsi – wyprzedza go żona. Karol ma ochotę ją zabić. Przecież mówił, żeby się nie odzywała!

– Widzisz Kubusiu, wiedziałam – wzrusza ramionami zadowolona matrona. – Nie mógł pan jej kupić, bo jestem już umówiona z synem tej pani – oświadcza z wyższością. – Słyszysz Samsonku? Twoją pańnię chciał oszukać. Niedobry! – ratlerek jak na komendę zaszczekał. Mężczyzna zwany Kubusiem odskoczył.

– Ze mną syn tej pani już też się umówił – blefuje Karol, zdecydowanym gestem przesuując żonę za siebie. Tak by nie miała już szansy się odezwać.

– Nie sądzę – oświadcza pani Bożena, prychając.

– Pani osąd nie ma wpływu na tę transakcję.

– Myli się pan! Mój osąd wpływa na każdą moją transakcję! I nie będzie mi taki byle pośredniczyna się mądrzył. Kubusiu idź, zawołaj tę babkę. Niech dzwoni do synka.

– Nie jestem pośrednikiem! – krzyczy Karol.

– Jest doradcą finansowym! – ponownie wtrąca się Edyta.

– Zamknij się! – wrzeszczy mąż. – Mówiłem ci, zamknij się! – powtarza, wytrząsając się nad żoną. – Czy musisz otwierać tę jadaczkę?

– Czyli zgadłam! – śmieje się matrona. – Dziubku na co czekasz! No idź! Nie stój jak taka ofiara losu! Samsonku chcesz pobiegać? – pyta wyrzywającego się z rąk ratlerka i stawia go na podłodze.

– Przegiąłeś! – wścieka się Edyta. – Mam cię dość! Wychodzę!

– Pani Bożeno proszę nie mówić na mnie ofiara – pretensje udzielają się również Kubusiowi dwukrotnie już nazwanemu Dziubkiem.

W tym momencie do salonu wchodzi staruszka i zastyga w drzwiach. Skupia na sobie wzrok. Po czym powoli podnosi rękę niczym zjawą.

– Co on robi? – pyta. Wszyscy się odwracają, podążając wzrokiem za palcem wskazującym. Staruszka pokazuje ratlerka, który stoi przy rzeźbie. Ma uniesioną do góry tylną, chudą nogę i sika

– Proszę natychmiast to posprzątać – krzyczy Karol.

– Dobry piesek, obsikał co jego – cieszy się uradowana matrona. – Brawo Samsonku. Proszę się nie przejmować zapłacę pani za sprzątanie – zwraca się do staruszki stojącej z otwartymi ustami.

– Ale on niszczy dzieło sztuki – załamuje ręce mężczyzna w swetrze z łatami na łokciach.

– Nie przesadzaj – uspokaja go pani Bożena lekceważącym tonem. – Na pomniki gołębie srają i wartości im od tego nie ubywa.

– Wstrętny kundel – krzyczy Karol i próbuje go kopnąć, odganiając od rzeźby. Jeszcze chwile temu w myślach, wkładał ją przecież do samochodu na rozłożone siedzenia.

– Jak mu zrobisz krzywdę, to cię pozwę – krzyczy pani Bożena, próbując złapać uciekającego pieska.

Edyta, która jest już jedną nogą na korytarzu, zatrzymuje się i wyciąga z kieszeni dzwoniący telefon.

– Tak synku, już jadę... Zaraz będę. Tak przywiozę coś do jedzenia. Nie. Tatuś zostaje... na dłużej – dodaje.

– Chyba teraz sobie nie pojedziesz? – protestuje mąż.

– Dziecko jest głodne!

– To chodząca galareta! Miesiąc może nie jeść! – Krzyczy Karol, odganiając nogą ujadającego Samsona.

– Wychodzę! I rozwodzę się z tobą! – grozi Edyta.

– Się pani nie dziwię – wtóruje jej oburzona producentka psiej karmy, próbując podnieść z ziemi pieska.

Edyta prycha i ostentacyjnie wychodzi, zamiatając potą powłóczyściego swetra do ziemi. Ratlerka, który nie mógł się zdecydować, czy zostać na podłodze, czy wspiąć się na ręce swej pani, właśnie dojrzał jasny, moherowy kraj włochatej dzianiny i gnany instynktem chwytą go w zęby i zaczyna ciągnąć, rzucając głową na boki. Targa z całej siły puchatym materiałem, robiąc w nim coraz większą dziurę. Ostatnie co Edyta zamierza stracić tego dnia to, to moherowe wdzianko. Szarpie materiałem z taką siłą, że mały pies unosi się w górę. Karol patrzy, a matrona zaczyna się cofać, próbując złapać ratlerka.

– Dziubku! Ratuj go – wrzeszczy, szukając pomocy. Dziubka jednak nie ma, sama usiłuje chwycić pieska. Sweter jest jednak długi i ratlerka zatacza w powietrzu coraz większe kręgi targany przez rozwścieczoną Edytę. Nie zamierza z własnej woli puścić, w końcu skrawek przegryzionej dzianiny odrywa się sam i pies szybuje w powietrzu. Właścicielka, próbuje chwycić go w locie i stawia kolejny krok do tyłu. Jej masywne ciało wpada na rzeźbę, która zaczyna się chwiać. Karol, który podbiega i próbuje złapać posąg, nie ma szans, wyslizguje mu się z rąk, zmieniając kierunek swego upadku. Ciężki posąg leci na ziemię. Ratlerka wybrał zły kierunek ucieczki. Przygniata go głowa z pustymi oczodołami.

Matrona krzyczy, zakrywając rękami twarz. Edyta patrzy na popruty skraj swetra. Karol przesuwa rzeźbę.

– Samsonku! – jęczy kobieta, klękając na podłodze.

– Przynajmniej nie cierpiat – informuje Karol.

– Po pogotowie dzwońmy! – krzyczy mężczyzna z łatami na łokciach, który niespodziewanie pojawia się w centrum wydarzeń. Nie zwraca uwagi na psa. – Po pogotowie!

– Po weterynarza! Idioty!!!

– Patrz! – pokazuje na stojący za drzwiami fotel.

Na fotelu siedzi staruszka. Jest w półleżącej pozycji. Rękę trzyma na sercu. Ma otwarte usta i bezwładnie wykręconą głowę. Oczy są wzniesione i wpatrzone w sufit. Właściwie nie widać już tęczywek. Spod powiek wyzieraają same białka.

AKT II

– Skończyłeś Dziubku? – pyta starsza, może sześćdziesięcioletnia kobieta. Patrzy krytycznym wzrokiem na swe odbicie w łazienkowym lustrze. Pryska sprayem siwe włosy. I stroszy je.

– Mamo przestań! – słycać męski głos z korytarza przekrzykujący odgłos włączonego odkurzacza.

– Omal nie umarłam ze śmiechu – odkrzykuje rozbawiona kobieta. – Naprawdę synu wspięłam się wyżyny aktorstwa! Dziubku i Dziubku. Kubusiu jakoś przetknęłam, ale Dziubku? Tego jeszcze nie było! – Uśmiecha się i zaczyna przesuwać płatek suchego mydła po jednym łuku brwiowym, potem po drugim. Sprawdza opuszkami sztywność i zaczesuje pod włos. Wyglądają teraz jak stare pojedyncze, szczeciniaste, wyskubane kłaki. Między nimi maluje cienką czarną kreskę. – Jak ty to wytrzymałaś? I to z taką poważną miną? – dopytuje się kobieta, nabierając na gruby pędzel sporą ilość ciemnego pudru. Mocno marszczy twarz i pudruje. Gdy przestaje ją krzywić, zostają ślady po zmarszczkach, dużo wyraźniejsze. Podkreśla je jeszcze pędzelkiem, wcierając inny odcień w powstałe bruzdy. Przysypuje rzęsy jakimś białym cieniem, prawie ich nie widać. Maluje usta czerwoną szminką, dość nierówno, jakby trzęsła się jej ręka. Wypycha do przodu dolną szczękę i garbi się, sprawdzając w lustrze, głębokość pochylenia głowy i wygięcia szyi. Na szyję nakłada stare korale, w których brakuje kilku paciorków, parę jest połamanych.

– Jak to wytrzymałaś? – dopytuje.

– Z trudem – wyjaśnia syn, który wchodzi do łazienki. Uśmiecha się, patrząc na matkę, która z drobnej eleganckiej kobiety przeistacza się w zgrzybiatą, zapyziałą staruchę, upierającą się, by podkreślać swą urodę czarną kreską zamiast brwi i przesadnie czerwonymi ustami na zapadniętych wargach. Widział to już wiele razy, ale za każdym razem się dziwi. Dziwi i podziwia.

– Gorzej było, jak wywróciłaś oczy na drugą stronę – wspomina, ściągając koszulkę polo z graczem wyhaftowanym na kieszonce. Wkłada ją do torby, z której wyjmuje powyciągany sweter ze skórzanymi łatami na łokciach. Nakłada.

– Naprawdę się wystraszyłem – mówi i bierze leżący na zlewie grzebień. Zaczesuje długą nonszalancko przyciętą grzywkę, odstawiając zakola. Używa sporo żelu lub kremu, który utrzymuje włosy i sprawia, że wyglądają jak przeredzone i przetłuszczone. Ta fryzura zmienia mu twarz, nadaje mu nieco szczerzego wyglądu.

Matka siada obok, na wannie. Nakłada pozaciągane rajstopy.

– To dlatego, żeby się tam nie pozabijali. Z resztą miałam już ich dosyć.

– Tak jak i ja – zgadza się syn. – Też zorientowałem się, że potrzebują dwóch rzeźb i to tak, by ten drugi o tym nie wiedział.

– Masz dobre oko do ludzi – chwali matka. – Po ojcu – kiwa głową, przyglądając się z dumą. – Dobrze wybrałeś tego drugiego.

– Byłem pewny, że ten doradca się skusi – uśmiecha się syn. – Nadawałem w tej galerii jak nakręcony, a on podstuchiwał. Im więcej liczb i procentów, tym lepiej. Oczy mu na wierzch wychodziły. Prawie w szybę wlażył, jak mówiłem o filmie.

– Szybko tu trafił – przytakuje kobieta, nakładając na siebie wyplóviałą tunikę z prującymi się złotymi włoskami.

– Ze trzy razy powtórzyłem nazwę ulicy i opisałem dom. Nie mógł nie trafić – mówi mężczyzna, wpychając do ust dwa waciki dentystyczne. Jeden po jednej stronie, drugi po drugiej. Policzki nabierają chomiczego wyglądu. Już nie

wygląda chytrze, raczej niegroźnie, niezbyt bystrze, jak wypłoszone zwierzątko. Dodatkowo wybałusza oczy. Przekręca głowę na bok, nakłada grube okulary na nos.

– W sumie dobrze się stało, że wpadli na raz. Podkręcili się nawzajem. To zawsze działa.

– A jak uciekali... Ta żeby ratować pieska, ci żeby się kłócić dalej. A ty co udawałaś zawat czy udar? – dopytuje się syn, oglądając w lustrze to swój prawy i lewy profil.

– A jakie to ma znaczenie – prycha kobieta i zaczyna się śmiać, ale już inaczej. Właściwie rechocze jak czarownica z bajek, rozbawiając tym syna. – Wiedziałam, że wrócą. Każdy po swoje.

– Skąd wiedziałaś?

– Synu, dłużej żyje od ciebie, to wiem, kto nie odpuszcza – wyjaśnia przesadnie kiwając głową. – Ten chciwy, ta próżna. Ten chciał zarobić, ta się popisać. Wystarczyło ich rozdzielić. A potem trafić do każdego z osobna i mówić, że ten drugi oferuje jeszcze więcej. I tu już ty się spisales.

– Zarobiliśmy poczwórnice. A mam jeszcze kilka tych Biegasów – chwiali się mężczyzna, który jeszcze przed chwilą był przystojnym czterdziestolatkiem, a teraz jest stał się skapciałym emerytem.

– Niech się cieszy, że nie był prawdziwy ten Biegas – mówi matka. – Prawdziwy zmiażdżyłby tego pieska, a ten tylko ogłuszył.

– I dobrze. Przez chwilę nie szczekał. Nie lubię psów – krzywi się.

– Zawsze się ich bałeś.

– Po prostu nie lubię.

Para patrzy wspólnie w lustro. Są zadowoleni z efektu. Śmieją się i przytulają. Taka fotografia w rodzinnym albumie. Mają ich petno. To w końcu matka z synem. Wyglądają inaczej, ale przecież siebie poznają.

– Ojciec byłby z ciebie dumny – mówi kobieta z czułością. – Byłeś małym chłopcem, to nie pamiętasz, ale mówię ci, lata dziewięćdziesiąte to były żniwa – wspomina z rozrzewnieniem. – On całe życie handlował starociami. A znał się tak, że z Muzeum Sztuk Użytkowych przychodzili się go radzić. Przez jego ręce przeszło więcej autentyków i podróbek niż im się śniło. A ojciec to sobie specjalnie zębów nie wstawiał, żeby taki z aktówką i w płaszczu z wielbłądziej wetny myślał, że jest od niego mądrzejszy. Wyobrażasz sobie?! Kupił taki dwa kolorowe albumy z meblami i myślał, że się zna. Wydawało mu się, że z taką amatorską wiedzą jest lepszy od handlarza.

– Dalej tak myślą – pokręcił głową syn. – To się nie zmieniło.

– Ale to były inne czasy. My mieliśmy w domu rokokowe witryny, barokowe lustra, secesyjne lampy, ale takim to ojciec tego nie sprzedawał. Dla chciwych cwaniaczków takich miał specjalną ofertę. Zamawiał w Holandii dwudziestowieczne kopie i zakopywał w ziemi na trzy dni.

– Albo okładał wilgotną słomą – dopowiada syn. Słyszał już tę historię wiele razy, ale lubi słuchać i daje matce mówić.

– Tak, tak też – przytakuje. – Brudziły się, politura, jeśli była to pękła w taki specyficzny sposób. Ziemia wchodziła w szpary i wyglądała jak wiekowy brud. Jakby były używane przez lata. Nawet potrafił je trochę obić albo przypalić – przypominała sobie. – Potem chował w jakiejś starej szopie, zagraconym garażu, przykrywał niby jakąś plandeką, że ukryte. Potem informował takiego klienta, co przed chwilą kupił pięćsetmetrową willę i musiał ją szybko wyposażyć w antyki, niby rodzinne, że kupił tę całą szopę od komornika i jeszcze nie zdążył przejrzeć, bo czasu nie ma. I dawał klucze – zarechotała ponownie. – A potem taki gość szedł i znajdował, co miał znaleźć, i bez zbytnich ceregieli kupował wszystko.

– Że niby graty po starej babci – dopowiada syn, patrząc na dobrze ucharakteryzowaną matkę

– Wtedy jeszcze młoda byłam – śmieje się kobieta. – Przygotowałaś dom? – pyta matka. Pyta i idzie sprawdzić

jak matka. Patrzy po ścianach w korytarzu. Wyglądają idealnie. Wystarczył pełen, dziurawy worek kurzu w starym odkurzaczu i rura włożona z drugiej strony. Wszystko jest porządnie zakurzone. Drobiniki ciągle jeszcze unoszą się w powietrzu. Kiwa głową z uznaniem.

Syn ściąga poprzyczepiane do ściany mniejsze i większe tekturki. Zostają po nich czystsze prostokąty. Dokładnie tak, jakby ktoś pościągał obrazy ze ścian. Wygląda tak, jak miało wyglądać. Profesjonalnie.

– Przypomnij mi. Owdowiałam i wyjeżdżam do siostry do Chicago. Na zawsze. Wysprzedaję wszystko i to najszybciej, jak się da. Bilet samolotowy już mam. Podoba mi się. Ile jeszcze tych rzeźb mamy?

– Trochę. Ale po tym wstrzymamy się na jakiś czas – komunikuje syn poważnym głosem.

– Co się stało? – pyta matka więcej zaciekawiona niż zaniepokojona.

– Ten doradca finansowy rozwiódł się jednak. I w podziale majątku zatrzymał dla siebie Biegasa i...

– I musiał go sprzedać? – dziwi się matka. – Myślałam, że będzie chciał potrzymać trochę.

– Widocznie musiał – informuje syn, poprawiając waciki w ustach. – Dowiedział się, że rzeźba ma wartość dekoracyjną.

– I co? Nie pogodził się z tym? – pyta.

– Niestety nie. Próbował zaproponować ją jakiemuś funduszowi jako lokatę. Sprawdzili i uznali, że celowo chciał wprowadzić falsyfikat do obiegu.

– A to już przestępstwo – kobieta teatralnie pokręciła głową. – Szkoda mi go – dodała, udając przesadne współczucie. – Stracił rodzinę, połowę majątku, jeszcze ma sprawę karną... U... la... la...

– A mi go nie żal – mówi syn dokładnie w momencie, gdy rozlega się dzwonek do drzwi. Jeden krótki gong. – O wcześniej przyszli – dodaje, patrząc na zegarek.

– To wcześniej pójdą. I wyjedziemy z tego miasta. Idę do salonu. Tam mam czekać? I pakować walizki? – pyta, oddalając się. Syn kiwa głową, rzuca jeszcze okiem na salon, pokój i rzeźbę w wykuszu. Lubi tego Biegasa. Tym razem to Gadziny życia... Dobra rzeźba. Patrzy i idzie do drzwi.

AKT III

– Nie boisz się? – mówi szeptem Karol, były doradca finansowy, stojąc przed drzwiami starego, klockowatego domu. Wydawało mu się, że jest zdecydowany i spokojny, ale chyba drży mu ręka. Widzi to po trzęsącej się lufie pistoletu wymierzonego w odrapane drzwi.

– Nigdy się nie boję – odpowiada mu pewnie Bożena, majętna producentka psiej karmy. Kobieta wysoko podnosi podbródek. Rude natapirowane włosy ani drgną. Stoi wyprostowana a w ręku dzierży grubą skręconą z kilku rzemieni smycz. Obok niej stoją w gotowości dwa czarne dobermany. Są spokojne i czekają na komendę. Karol już je widział. Są bardzo dobrze wyszkolone. Woli stać metr od nich i w sumie cieszy się, że ma ten pistolet.

Jak to się stało, że stoją tu razem?

To on ją odnalazł i w sumie nie było to trudne. Gorzej było z wytropieniem oszustów. Ale pani Bożena nie szczędziła środków, by ich odszukać. I to z wielu powodów. W przeciwieństwie do Karola strata pieniędzy była najmniejszym z nich. Chodziło o coś innego. Po pierwsze ogłuszony ulubieniec Samsonek, odzyskał przytomność, ale nie doszedł już do siebie i wkrótce zdechł. Znienawidziła więc tę rzeźbę. Postanowiła się jej pozbyć. Użyła wielu kontaktów. Zaprosiła do siebie dyrektora telewizji. Nie omieszkała przy okazji ugościć również Fiszbachów. Kolekcjonerowi nie zajęto wiele czasu, by podważyć autentyczność dzieła sztuki i dodatkowo obnażyć jej brak kompetencji. Została publicznie ośmieszona.

Z przyjemnością zatem potoczyła się ze zdesperowanym byłym doradcą finansowym, który chciał odzyskać pieniądze. Pani Bożena miała inny warunek. Oszukańcza para miała cierpieć co najmniej tak... jak jej ulubiony piesek. Cokolwiek miałyby to znaczyć.

W starych drzwiach przekręcił się klucz. Pani Bożena strzeliła palcami. Doberman jak na komendę wyciągnęły szyje i zaczęły cicho warczeć, z pyska zaczęła ściekać im ślina. Karol położył palec na spuście.

- Dobry wieczór - powiedział, widząc w otwartych drzwiach znajomą twarz.
- Jak się masz Dziubku - przywitała się producentka karmy i dwa razy strzeliła palcami.